

HANS HELLMUT KIRST

08/15 W PARTII

To jest raport obejmujący okres zaledwie kilku tygodni życia pewnego mężczyzny, który doświadczył, że słowami można człowieka nie tylko ogłupić i uwieść, ale też zniszczyć i unicestwić.

Przeciwstawienie się temu, i to środkami oraz metodami swoich wrogów, uznał nie tylko za dozwolone, lecz wręcz za konieczną samoobronę.

Doprowadziło to wkrótce do zdarzeń, w których sytuacje komiczne i tragicomiczne zastępowały się nawzajem. Mężczyzna, który brał udział w tym wszystkim, nazwiskiem Konrad Breitbach, lawirował zręcznie między życiem a śmiercią.

Chwila owego zaczarowania i zbłąkania, której próba odtworzenia została tu podjęta, jest dokładnie określona: kilkadziesiąt dni obejmujących późną wiosnę i początek lata pamiętnego 1933 roku.

Widownia tych wydarzeń znajdowała się w Niemczech, w odległych wówczas od centrum kraju Prusach Wschodnich. Nazwaliśmy ją tu Gilgenrode; miasteczko to trudno byłoby jednak odnaleźć na jakiejś jeszcze ewentualnie egzystującej mapie z tamtego zagubionego świata. Gilgenrode powstało bowiem z połączenia dwóch faktycznie istniejących miast: Gilgenburg i Osterode. Autor spędził w nich swoje dzieciństwo i młodość.

Książka ta ma też swego rodzaju współautora, niejakiego Adolfa Hitlera. Wszystkie cytaty zostały przytoczone dosłownie, z dokładnie podaną stroną, z popularnego wydania głośnego na całym świecie dzieła pt. *MEIN KAMPF* – niestety przez wielu zbyt późno przeczytanego.

– A więc kochani chłopcy – ja wcale nie wymagam, abyście wyłącznie podążali za moimi radami. Chciałbym jednak, żebyście spróbowali zrozumieć moje myślenie. W końcu jestem waszym ojcem. Waszym Ojcem!

Tak mówił Richard Breitbach z zachęcającą serdecznością do obydwu swych synów, których zawezwał do siebie. Breitbach był wielce szanowanym obywatelem w wymienionym już Gilgenrode – niedoścignionym mistrzem siodlarskim, właścicielem kamienicy, do tego zdeklarowanym nacjonalistą i chrześcijaninem.

Lecz czasy, w których nawet tutaj w niewielkim Gilgenrode mógłby nadal uchodzić wyłącznie za porządnego obywatela i skromnego sługę Bożego, dawno minęły; w każdym razie ostatnio Breitbach nie poruszał się już tak pewnie i ochoczo po okolicy. Jakby coś złego przeczuwał. Niektórzy nawet zaczęli o nim mówić. Po co ten skądinąd przyzwoity człowiek zadziera z nimi, stroi się w takiego kłótnika. I to tylko tak dla siebie, bez konkretnego celu.

– Nie osądzajcie mnie źle, moi kochani synowie – mówił dalej podniesionym tonem Richard Breitbach. – Ale to wszystko co zachodzi w tych zarozumiałych facetach, niby nowoniemcach – jest niebywałym kuriozum, gorszącym wybrykiem, czy infantylną zabawką. – Spoglądał teraz na obydwu swych synów, jak ksiądz przemawiający z ambony, próbujący swym kazaniem wzbudzić refleksję wiernych nad głoszoną Ewangelią.

– Nasza dzisiejsza sytuacja, moi kochani chłopcy, jest wielką błazenadą. Nawet jeśli niektóre prawdy, głoszone przez tych brunatnych braci, wydają się brzmieć przekonywająco. Ale nie należy im w niczym ufać!

– Czy naprawdę w niczym – skoro wiele rzeczy, które głoszą, brzmi przekonywająco?
– zapytał wtedy Konrad, młodszy syn Breitbacha.

Chwilowo jeszcze ojcowska pewność siebie Richarda Breitbacha pozostawała niezakłócona.

– Przyznam – mówił do nich dalej – że coraz trudniej przychodzi mi zrozumieć naszych kochanych współziomków, większość z nich zachowuje się jak dzieci. Ale całe szczęście, że wciąż jeszcze można znaleźć w okolicy prawdziwych idealistów, których łatwo odróżnić od kręcących się wokół coraz częściej łotrzyków i oszustów.

– I ty ojcze naprawdę wierzysz w to, że potrafisz ich odróżnić – tu u nas w Gilgenrode? – znów zapytał z nieco drwiącą uporczywością młodszy syn, Konrad, coraz jednak mniej pewnego siebie ojca. – Ja na przykład nie potrafię ich odróżnić – i powiem więcej, czasami to właśnie oni, a więc ci, których nazywasz łotrzykami i oszustami wydają się dla mnie być idealistami.

Ojciec Breitbach wyglądał teraz na człowieka, który miewa kłopoty z oddychaniem, zaczął rozluźniać krawat w czarno-biało-czerwone prążki. Słońce tego wiosennego dnia prażyło, jakby była pełnia lata, i wdzierało się całą swoją jaskrawością do tego na ogół ciemnego pokoju, w którym królowały mieszczańskie dębowe meble obite skórą.

Nie wiadomo zupełnie, kiedy ci jego „chłopcy” z dzieci stali się dorosłymi mężczyznami. Wysokim i szczupłym – starszy, który miał na imię Johannes; jego twarz była pełna dostojności, gotyckiego piękna, jakby została wyrzeźbiona przez artystę. Niebieskie oczy spoglądały z głębokim rozmarzeniem. Wyglądał na człowieka uduchowionego, którym wciąż opiekowały się muzy, mimo że miał już prawie trzydzieści lat. Zupełnie inaczej za to ukształtowany był jego brat, czyli Konrad, swego rodzaju „manekinek rodzaju męskiego”. Zwracało się na niego uwagę, gdyż był bardzo niski, mierzył zaledwie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Wyglądał naprawdę mizernie, uchodząc wokół za nie mającego wszystkich klepek. Słowem – karykaturalna postać i niezdara.

Nikt zatem nie przypuszczał, że Konrad będzie mógł kiedykolwiek dokonać czegoś szczególnego. I on sam też chyba nie bardzo w to wierzył. Ojciec mawiał o nim często: „Nasz mały Konrad jest z pewnością bardzo kochanym i posłusznym chłopcem, lecz niestety głupim pieskiem”. Richard Breitbach bardzo bowiem kochał psy.

Stąd więcej uwagi poświęcał ojciec zawsze widocznemu, nawet gdy ten zapadał się w głębokim fotelu, Johannesowi, czyli swojemu starszemu synowi. On był jego oczkiem w głowie. Równocześnie symbolem jego zasad, jak: honor, wierność – i kto wie jeszcze jakich.

– Wybieram teraz wolność – powiedział głośno ojciec Breitbach, patrząc prosto w oczy Johannesowi – wolność szczonego zewsząd psa, który chce się przynajmniej tu, we własnym rodzinnym gronie, czuć bezpieczny. W końcu rodzinę ma się jedną!

Johannes poruszył ramionami – jakby chciał tym gestem ojca uspokoić, że zgadza się z nim całkowicie i jest po jego stronie.

– Kochany tatusiu – powiedział jednak, przyznając Richardowi Breitbachowi rację – pozwól, że ci coś uświadomię: – Ty zawsze byłeś i pozostaniesz najważniejszy w naszej rodzinie. Ale nie wiem, kiedy dokładnie to się stało i z jakich powodów, że staliście się ostatnio dla siebie nieprzyjaźni, ze swoim najbliższym od lat przyjacielem

– Sonnenblumem. Daruj mi, żeby tego nie wyrazić dosadniej, bo byłoby mi przykro i tobie chyba też. A teraz nagle staliście się tak zajadłymi wrogami. I nie bardzo wiem, dlaczego. Daruj, ale nie rozumiem, dlaczego mają być uszkodzone dzieci przez to, że się kłócą ojcowie?

– W zasadzie nie powinno to obchodzić dzieci – odpowiedział Breitbach. – W normalnych warunkach tak z pewnością by było, ale nie dziś! Przecież do niego nie można trafić dosłownie żadnymi argumentami! Ma we wszystkim inne zdanie! Mój przyjaciel stał się po prostu autentycznym nazi! Hitlerowcem! Rozumiesz? A ja pozostanę Niemcem! On chce mnie zniszczyć, a wraz ze mną i całą naszą rodzinę! Tak się wyraził! Są świadkowie, którzy słyszeli jak to mówił!

– Wiele można mówić, ale to jeszcze nie znaczy, że tak się robi – stwierdził Johannes lekko zirytowany. – Czy może ma to coś wspólnego z tym, że ja kocham Erikę Sonnenblum, a ona mnie?

– Czy ona to potwierdziła? – zapytał ojciec Breitbach nie bez zauważalnego zaniepokojenia.

– My oboje, to znaczy Erika i ja, wiemy o tym. Nie musimy bez przerwy zaświadczać, że się kochamy.

Do ich rozmowy wtrącił się Konrad – mały Konrad.

– Najlepiej – powiedział – poświęczysz to czynem. Po prostu zrobisz jej dziecko! I wszystko byłoby jasne!

– Świnia – wykrzyknął Johannes do brata.

– Dureń – odpalił mu tamten. – Jeśli niczego nie rozumiesz, to jesteś dureń! Co w tym złego, jeśli wcześniej pomyślisz o potomstwie? Jeśli rzeczywiście się kochacie i zamierzacie pobrać?

Ojciec Breitbach zaniemówił, wytrzeszczając oczy na synów. Spodziewał się reakcji ze strony Johannesesa, ale jej nie było. Wtrącenie się Konrada uznał za bezczelne i nietaktowne wobec brata, tym bardziej że Johannes był niezwykle wrażliwej konstrukcji młodzieńcem; bardzo uczuciowym, zupełnie bezbronnym wobec takich ataków. Zresztą w Gilgenrode – tak przynajmniej sądził stary Breitbach – życie było dotąd spokojne, ludzie nie wojowali między sobą, a jeśli się już kłócili, to o to, jak lepiej prowadzić interesy, zarobić na kocurach, innych zwierzętach i towarach. Czasem przedmiotem tych kontrowersji była wiara. Wszystko dotąd było inaczej.

– Ten Sonnenblum – znów odezwał się Richard Breitbach – ten mój dotąd ukochany Sonnenblum chyba do reszty już zgłupiał i oślepl, żeby tak postawić wszystko na jedną kartę, wyłącznie na nazistów! Jako dentysta nie jest nawet zły, wszyscy to przyznają i zgadzają się ze mną. Ale jego poglądy polityczne są straszne, okropne! I jego Erika miałaby zostać moją córką!

– A co w tym złego, że jej ojciec ma takie a nie inne poglądy?

– Mój drogi Johannesie – odpowiedział Richard Breitbach zasmucony, jakby nagle grunt usunął mu się spod nóg – czy mam przypuszczać, że i ty stałeś się nazistą?

– Nie, ojcie – zapewnił zdecydowanie Johannes. Już jako dziecko bał się śliskich żab, krzyczał, jeśli przypadkowo jakaś na niego wskoczyła. I takim chyba pozostał; niezdecydowanym, tchórzliwym. – Ja, ojcie, jestem z innej gliny, a tacy nie pasują do nich. Więc nawet gdybym chciał, odrzucą mnie!

– No dobrze – odpowiedział ojciec Breitbach, któremu zrobiło się jakby lżej. – Posłuchaj jednak, co ci teraz powiem: ten świntuch Sonnenblum wczoraj nadepnął mi na odcisk, zaczepił mnie na środku rynku, gdy wychodziłem z kawiarni. I wyobraź sobie, zaczął mnie wyzywać, oj, jak na mnie ryczał, dając do zrozumienia, że on jest tu teraz przedstawicielem Niemieckiej Partii Narodowosocjalistycznej. Tak więc i jego Erika, ma się rozumieć, stała się zwolenniczką NSDAP, a to oznacza – krzyczał ten kretyn – że nie będzie wychodziła za byle kogo za męża. Jej mężem może być tylko nazi! – wrzeszczał.

– To nieprawdopodobne, potworne! – zawołał przerażony Johannes, jakby chciał temu zaprzeczyć.

– Będziesz może próbował przeciwstawić się temu? – zapytał z wyraźną kpina w głosie młodszy brat, Konrad, przybierając przy tym bardzo niewinną minę. Jego płonące oczy, których lepiej nie namalowałby sam Murillo, patrzyły wprost na Johannaesa. – Jak to sobie wyobrażasz?

– Niech Erika robi sobie co chce – radził teraz Johannesowi ojciec Breitbach. – Oszczędziłoby to nam wielu nieprzyjemności i kłopotów, tak sędzę.

– Nawet nie myślę o tym! To nie wchodzi w rachubę, za żadne skarby świata! Przecież obecna sytuacja nie będzie trwała wiecznie!

– Oby tak było i Bóg nam w tym dopomógł! – odpowiedział podniesionym tonem Breitbach. – Ale ci bezczelni, nawiedzeni, inaczej ich nie mogę nazwać, będą jeszcze przez wiele miesięcy bezkarnie się panoszyć, co najmniej dwa lata, tak przynajmniej na to wygląda, ale dłużej nie. Czy jesteś może innego zdania?

Spojrzeni pytająco na siebie i ten wiecznie niezadowolony z niczego, niepokorny, kłótniwy Konrad i ten uduchowiony przez naturę, żyjący wśród muz Johannes. Zapadło chwilowe milczenie, przerwane nagle przez „małego” Konrada, tego dotąd uważanego za ulubieńca, ale głupiego Konrada. Przestraszyli się, gdy usłyszeli co powiedział.

– Wobec tego, że Sonnenblum uważa się tutaj za przedstawiciela naszego ukochanego Führera jest dla mnie zupełnie jasne, że i jego ukochana Erika może wyjść tylko za kogoś, kto

kocha Führera i jest wyznawcą jego idei. A ty mój bracie nie jesteś nim i nigdy nie będziesz. Naszego ojca to cieszy, tak czuję. Co zatem ci pozostaje, jakie masz wyjście?

– O co ci chodzi? Wyrażaj się jaśniej! Naprawdę Konradzie nie wiem, co masz na myśli i co mi proponujesz? – zapytał łaknący odpowiedzi Johannes.

– Sądzę mój bracie, że ta sytuacja ma taki praktyczny wymiar – zaczął dukać Konrad.
– Wyobraźmy sobie, że ten pies, a więc Sonnenblum, wylądował w chlewie, znalazł się nagle – jak powiadano – między świniami i co więcej, zdaje mi się, że mu się tam podoba! Nie chce z powrotem wyleźć z tego chlewu! W związku z tym istnieją tylko dwie możliwości, z grubsza rzecz oceniając: Albo oczyści się z gnoju ten zapaskudzony chlew, albo trzeba po prostu wydobyć stamtąd tego psa! Ale żeby to zrobić, trzeba najpierw samemu zanurzyć się w tym gównie. Rozumiesz? Zanurzyć się w tym gównie!

– Ja chyba zwariuję! – wrzeszczał ojciec Breitbach. Ogarnął go strach. – Zapomnijmy o tym cholernym Sonnenblumie! Niech go szlag trafi! Słyszycie?!

– Byle nie razem z Eriką – wtrącił się Johannes. – Ona należy do mnie!

– I właśnie dlatego wciąż intensywnie myślę, jak tu możliwie najlepiej doradzić memu najdroższemu bratu – przerwał niemal wesołym głosem „mały”. – Johannes, słuchaj, już w piśmie mówi się, że nadejdzie czas, kiedy opuścisz ojca i matkę swą, czy coś takiego. Tam jest, nie pamiętam dokładnie, nieważne. Co zatem powinienes zrobić? Nie przeraż się, ale wstąpić do partii Sonnenbluma!

– Tego – ryknął na całe gardło ojciec Breitbach – zabraniam ci! Wypluj te słowa! Zgłupiałeś albo żartujesz?!

– Ojczy – odezwali się niemal równocześnie Johannes i Konrad – jesteśmy już pełnoletni. Pozwól nam wreszcie zabawić się tą pełnoletnością.

Mamo, wszystko jest w jak najlepszym porządku – zapewnił lekarz dentysta Heinrich Sonnenblum, szef miejscowej komórki NSDAP w Gilgenrode. – Nasza idea zdobywa sobie coraz szersze poparcie i uznanie. Czy wiesz matko, kto mi się dzisiaj uklonił? I to bardzo ostentacyjnie?!

– Nie mam pojęcia, Heinrichu, ale opowiesz mi wszystko później. Na razie nie przeszkadzaj.

Gertruda, jego matka, była w kuchni i przygotowywała obiad. Była osobą masywnie zbudowaną, z wyglądu przypominającą „przysadzistego” ziemniaka. Twarz miała mocno pooraną i zmiętą, oczy jednak bystre, ruchliwe niczym u jastrzębia. Usta miała spłaszczone, wargi prawie niewidoczne.

– Ile razy mam ci powtarzać, że w kuchni nie masz nic do szukania, mój drogi? Zajmij się lepiej swoją praktyką lekarską, jeśli w ogóle znajdujesz jeszcze na nią czas.

Heinrich Sonnenblum uśmiechnął się pod nosem. W końcu, tak przypuszczał, znał swoją kochaną mamę. Pani Sonnenblum nigdy nie przebierała w słowach, a już nie daj Bóg, jeśli ktoś jej zalazł za skórę! Za to serce miała złote. Swój ostry język strzepiła na ogół tylko w rodzinnym gronie. Ale kto się czubi, ten się lubi!

Lubił więc przekomarzać się z matką. – Wiesz – powiedział, chcąc zaspokoić jej ciekawość – kto mi się dziś kłaniał na ryneczku z takim respektem? Twój ukochany pastor – Bachus!

– To do niego podobne – odpowiedziała. – Może będzie chciał dostać u ciebie posadę szefa propagandy. W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe.

Matka Gertruda spoglądała chłodno na swego wyrośniętego, o wąskich ramionach, za to szerokiego w biodrach, syna. Nie, nie rozpieszczała go nigdy. Ten Heinrich był jednak dla niej wszystkim, jedynym dzieckiem, ogromnie kochanym, czego jednak nigdy nie dała mu odczuć. Taka już była jej natura.

Właśnie dlatego Sonnenblum nigdy nie czuł się tak w stu procentach bezpieczny! Miał z tego powodu kompleksy, były równie wielkie jak chęć imponowania otoczeniu. I nie tylko w sprawach zawodowych. Jako dentysta uważał, że najlepszym lekarstwem dla chorego zęba jest jego usunięcie i czynił tak wobec swoich pacjentów. Jego „wyrafinowane” metody leczenia spędzały niejednokrotnie sen z powiek matki.

Nie czyniła mu jednak z tego tytułu nigdy specjalnych wyrzutów, był przecież jej ukochanym i uwielbianym synem. Teraz musiała tym bardziej o niego dbać, szczególnie od momentu, gdy owdowiała. Chciała uchronić go przed następnymi głupstwami.

– Jak widzę cię tak zadowolonego z byle czego i szczerzącego zęby – powiedziała – robi mi się po prostu niedobrze, mój mały! Czy naprawdę sądzisz, że on ci się podlizuje?

Nic jednak nie było w stanie tego dnia zmącić dobrego samopoczucia Heinricha Sonnenbluma. – Trzeba by to oblać butelką dobrego reńskiego wina – zaproponował.

Dobrze wiedział, że jego ukochana mamuśka nigdy nie odmówi kilku kropelek dobrego trunku.

– Co to za nowe metody! Wino chcesz chlać w biały dzień? A może to należy do dobrego obyczaju nowych porządków? Heinrich – pamiętaj – kto się upija, to albo chce świętować, czyli uczcić coś szczególnego, albo zapomnieć o czymś, co go boli. A ty dlaczego chcesz się napić?

Próbował jej to wyjaśnić podczas obiadu. Najpierw jedli zupę jarzynową mocno zaprawioną śmietaną, potem solidnie spieczone rolady cielece z sosem grzybowym, a na koniec jeszcze jego ulubiony deser: świeżo upieczony jabłecznik z bitą śmietaną. Z ogromnym apetytem pakował to wszystko w siebie; jak długo trawił – świat wydawał mu się bajeczny.

Matka Sonnenbluma była niewątpliwie mistrzynią kuchni, umiała przyrządzać najprzeróżniejsze dania: kojące serce i dające siłę ciału najwymyślniejsze potrawy, zupełnie cudowne i nigdy nie złamane jakąś przypadkową przyprawą. Jej obiady zawsze były prawdziwą ucztą. I już choćby tylko z tego powodu jego szanowna mamuśka zasługiwała na uznanie, tak przynajmniej wszem i wobec Heinrich głosił. Zadowolony zatem podniósł kieliszek w górę i powiedział donośnym głosem: – Za naszą niemiecką przyszłość!

– Co ty za bzdury znów wygadujesz mój synu? – wymamrotała pod nosem. – Przecież jesteśmy tu tylko we dwoje! O twojej przyszłości i karierze zawsze marzyłam, ale jako dentysty! A ty mi tu wygadujesz takie rzeczy!

– Nikt – przerwał jej – mam nie potrafi cię zastąpić w gotowaniu, jesteś prawdziwą artystką! Ale męczy mnie coś, więc cię zapytam: jak się ma nasza kochana Erika?

Erika, jego córka, skończyła niedawno dwadzieścia lat; dla niego była prawdziwą pięknoscią, ale niestety, nie germańskiej urody. Jej oczy były ciemne, budowa ciała bardzo delikatna, a głosik nie pasował do ogólnego tonu dzisiejszych wypowiedzi. Pracowała w Gilgenrode jako nauczycielka klas młodszych.

– Mam duże plany wobec niej! – zwierzył się Heinrich Sonnenblum swojej matce. – Przyszłość Eriki wciąż leży mi na wątrobie, jest jak wyrzut sumienia!

Matka Sonnenblum miała uczucie jakby nagle znalazła się w jakimś małym cyrku, w którym sztukmistrz próbuje wyczarowywać wciąż tego samego królika spod kilku kapeluszy; zresztą bez większego rezultatu.

– Przecież wystarczy – zaczęła, strofując syna – jeśli będziesz wobec niej bardziej tolerancyjny i nie będziesz zachowywał się wciąż jak akrobata na linie. Jesteś jako ojciec zobowiązany zapewnić jej przyszłość. W końcu nie ma co wiele kombinować. Powinna wyjść za mąż za porządnego chłopca – już nawet wiem za kogo, założyć rodzinę, mieć dzieci. Po to się urodziła!

– Czy ja też urodziłem się tylko po to, żeby być dentystą? – odparł jej z pewnym zniecierpliwieniem Heinrich Sonnenblum, wydłubując resztki cieleciny z zębów. – Ja w każdym razie szybko się zorientowałem, w jakim kierunku wieją dziś wiatry w naszej ojczyźnie i nie zamierzam iść pod prąd.

– Jesteś chyba już ululany! – stwierdziła matka Sonnenblum przesuwając flaszkę z resztką wina w swoim kierunku.

– Ty z tym swoim fanatycznym uwielbieniem Hitlera! Ale teraz dosyć już tych wygłupów. Gadaj, jakie plany masz wobec Eriki?

– Plany? Ona ma przede wszystkim słuchać swego ojca. Chciałbym, żeby tu u nas objęła przewodnictwo Niemieckiego Związku Dziewcząt, żeby wreszcie włączyła się też do Związku Kobiet Rzeszy. Wyjść za mąż zawsze będzie mogła.

– A przynajmniej wiesz, kogo ona kocha?

– Niestety, wiem! Na moje nieszczęście – potwierdził Heinrich, dalej dłubiąc w zębach. – Jak mogła zadurzyć się w tym Johannesie Breitbachu, takim nieudaczniku, który nic nie potrafi, do tego jeszcze ma aspiracje być artystą. To on pisuje te napuszone, pretensjonalne artykułiki w naszej gazecie. A poza tym gra na organach w kościele!

– Przecież tylko tam są organy!

– No dobrze, ale czy musi akurat na nich grać? I na dodatek jeszcze, jak mówią, bazgrze jakieś tam wiersze. Krótko mówiąc – chłopem z prawdziwego zdarzenia to on nie jest! Czy mogę zatem swoją ukochaną córeczkę oddać takiemu facetowi? Musiałby się zupełnie zmienić i ta cholerna jego rodzina również!

Matka Sonnenblum roześmiała się szorstko. – Heinrichu, czy mam przez to rozumieć, że chcesz wykorzystać swoją pozycję, by wreszcie wygrać tę – jak ja to nazywam – prywatną wojnę ze swoim odwiecznym rywalem Breitbachem?

Sonnenblum zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką. – Ty, mamo, jak zwykle, mnie nie doceniasz!

– Doceniam, doceniam, mój synu, ale Breitbacha również. Jesteście obydwaj niepoprawni, zupełnie jak dzieci. A z kobietami to nie umiecie się obchodzić! Już jako chłopcy nie mogliście się pogodzić. Ot, odwieczni rywale, co jeden chciał to i drugi! Użerały się z wami te wasze żony i dziwić się, że dziś obaj jesteście wdowcami?

– Mamo, to stare historie, odgrzebujesz coś z lamusa!

– Ale wciąż natykacie się na siebie, przecież znów rywalizujecie o tę samą babę. Zapomnieliście, że już stuknęła wam pięćdziesiątka.

– Panna Beata Fischer jest nie tylko moją pomocą dentyścyczną – przyznał Sonnenblum tonem nieco obrażonego kawalera – ale doceniam ją nie tylko za to; jest nieoceniona!

– Rozumiem, rozumiem mój chłopcze! Ty chcesz z nią sypiać, ale i Breitbach pragnie tego samego. I z tego powodu nie możecie na siebie patrzeć, czy to nie cyrk? Zabijać się o kobietę?

– Mamo, kochana mamo, co ty masz za dziwne skojarzenia. Mimo że cię szanuję, muszę ostro zaprotestować! Jak możesz porównywać go ze mną? Że ja niby rywalizuję z nim o coś? To nie leży w mojej naturze.

– A czy nie patrzysz na Breitbacha w kontekście własnej córki?

– Oczywiście także! Bo mam dla niej kogoś bardziej odpowiedniego od tego uduchowionego pięknisia, zasańca Johannesa Breitbacha.

– A kogóż to przeznaczyłeś dla niej, mój chłopcze?

– No, na przykład Kellera! To silny chłopak z naszej SA, awansowany niedawno z moim błogosławieństwem na Sturmführera. To jedyny człowiek, który do niej pasuje – krzyczał Heinrich Sonnenblum. – Taka jest moja wola!

– Dosyć, dosyć. Przerwij i nie ciągnij dalej tego tematu – krzyczała teraz także Gertruda Sonnenblum, rozczarowana i załamana. – Czy ty mój chłopcze już zupełnie potraciłeś zmysły? Jak w ogóle mogło ci to przyjść do głowy, chyba nie masz Boga w sercu, tego śmierdzącego byka dopuścić do naszej córki!

– Proszę cię mamo, nie denerwuj się! – odpowiedział jej głosem człowieka zdecydowanego, by świat urządzić na modłę narodowego socjalizmu. Wpadł prawie w szal, wrzeszcząc teraz na nią: – Pamiętaj, żebyś nigdy więcej do mnie nie mówiła takim tonem! Jestem twoim synem, to prawda, ale już nie dzieckiem. Wiedz o tym! Mnie interesuje teraz tylko nasza narodowa przyszłość, i jestem tutaj za nią odpowiedzialny! I wiem, jak mam postępować w bliższej i dalszej przyszłości! Nalej nam lepiej po jeszcze jednej lampce wina i nie sprzeciwiaj się.

– Nie mój synu – odpowiedziała zdecydowanym głosem matka Gertruda. – Ta restauracja jest już dla ciebie zamknięta! I nie tylko na dzisiaj, ale na długo. Dopóki się nie uspokoisz i nie zmądrzejesz troszkę. Powiem ci wprost: nie życzę sobie, aby w naszym domu padało nazwisko Keller; a zwłaszcza w odniesieniu do twojej, ale i mojej Eriki. I nie odstąpię od tego – zapamiętaj to sobie! Zrozumiałeś?